CHROBRY SZLAK

Naszym celem Wielka Polska!

Numer 12/2017(22) - grudzień 2017 roku

ULICE NIE DLA NARODOWCÓW?

Teatr telewizji pokazał bajkę o starym i chorym Dziadku, by w ten sposób uczcić obchody 150 urodzin Marszałka. Spektakl wyreżyserował Krzysztof Lang, a w Józefa Piłsudskiego wcielił się Mariusz Bonaszewski. Obok Marszałka pojawili się W rolach byli premierzy II RP świetnie zmartwychwastali w osobach Andrzeja Grabowskiego (Aleksander Prystor), Mirosława Baki (Walery Sławek), Adama Woronowicza (Kazimierz Bartel) oraz Grzegorza Mielczarka (Kazimierz Świtalski). Pozostałe kreacje stworzyli: Dorota Landowska (Marszałkowa), Rafał Królikowski (Bolesław Wieniawa-Długoszowski), Wojciech Zieliński (Józef Beck), Maciej Zakościelny (adiutant Mieczysław Lepecki), Stefan Pawłowski (Stach), Artur Barciś (Fryzjer) oraz Agata Skórska (Ludwika). Premierowa emisja odbyła się 4 grudnia br. w TVP1.

Sylwetka Bonaszewskiego idealnie nadaje się do odtworzenia tej fizjonomii i postaci, postaci starego i schorowanego Dziadka. Nowotwór, z którego powodu zmarł Pilsudski, prawdopodobnie rozwijał się znacznie wcześniej, niż stwierdzili go różni znakomici medycy, a jego rozwój w organiźmie ludzkim powoduje nieubłagane następstwa. Przede wszystkim fizjonomia Marszałka była fizjonomią człowieka o wiele starszego, niż to wynikało z metryki sporządzonej w 1867r. w Zułowie na Wileńszczyźnie. Jakby miał ze 20 lat więcej. Także i Syberia, konspira, więzienie carskie, wojna i okopy i znów więzienie zrobiły swoje.

Tematem spektaklu była political fiction polityki zagranicznej II RP, czyli pomysł tzw. wojny prewencyjnej z Niemcami, do której rozpętania Ziuk rzekomo przymierzał się w 1933r. po tym jak usłyszał przez radio wrzaskliwy, jazgoczący głos Hitlera. Zwołuje spotkanie czterech byłych sanacyjnych premierów, a on sam był piątym, by przedstawić im ten pomysł. Pomysł ten dla nich chybiony, bo oni o niczym nie marzyli jak o pokoju. Po pierwsze, brak źródeł, czy takie spotkanie w sprawie wojny prewencyjnej odbyło się... było rok później, z udziałem Mościckiego, przed podpisaniem z Hitlerem paktu o nieagresji.

Piłsudski polecił przeczytać Świtalskiemu kawałek Mein Kampf. Nie wiem, czy oni aż tak dobrze znali język niemiecki. Książka ta nie byla wtedy przetłumaczona na język polski, a sądy jesienią 1933 roku zakazały jej

rozpowszechniać. Był to fragment o odkreśleniu gruba kreską kaiserowskiej polityki zagranicznej, tj. nacechowanej walką o kolonie, co niepotrzebnie antagonizowało Niemcy z Anglią, a wytyczeniu nowej, tj. polityki szukania przestrzeni życiowej na wschodzie. Piłsudski pyta, czy jest tam coś o Polsce. Odpowiedź jest przeczaca, co nie oznacza, że o Polsce nie ma w książce Hitlera nic. Najpierw współczuje Polakom, że kaiser ich gnębił: "Polityka wobec Polski miała także połowiczny wymiar. Drażniono tylko Polaków nigdy nie traktując ani ich, ani tej polityki poważnie. W efekcie nie było ani zwycięstwa dla Niemiec, ani pojednania z Polską, a wywołało to tylko wrogość Rosji" - pisał Hitler. Później napomknął o konieczności odzyskania utraconych ziem "niemieckich". Teatralny Piłsudski kwituje przeczytany fragment i brak słów o Polsce tak: jeżeli o Polsce nie ma nic, to znaczy, że w ich głowach Polski nie ma. Czy słusznie? Nie do końca. Polska była w łepetynie malarza z Wiednia jako jego sojusznik, wasal w zdobywaniu przestrzeni życiowej na wschodzie.

Uprzednio Pilsudski wysłał do Paryża Wieniawę, by wysondował, czy Francja Polsce pomoże, ten w odpowiedzi przywiózł menu kolacji, którą go podejmowano. W rzeczywistości Piłsudski do Paryża wysłał Ludwika Hieronima Morstina – pisarza, niegdyś adiutanta marszałka Focha. Miał on uzyskać odpowiedzi na następujące pytania: 1. Czy w sytuacji zaatakowania Polski przez Niemcy Francja ogłosi mobilizację? 2. Czy nad granicę niemiecką w takim wypadku będzie skierowana całość sił francuskich? Na obydwa pytania, Morstin uzyskał odpowiedź negatywną: „Na wypadek zaatakowania Polski przez Niemcy Francja nie zarządzi ogólnej mobilizacji i nie wystawi swoich sił na granicy Niemiec (…)”. Sprawa zatem była oczywista: Francja nie zamierzała wdawać się w wojnę, bądź co bądź napastniczą z Niemcami. Jeżeliby tak istotnie było, to już od 1933 r. było wiadome dla Becka, że Francja w wojnie z Niemcami nam nie pomoże. Czy warto było zwracać się po pomoc do Anglii? Nie, bo Mein Kampf wyraźnie wskazywało na konieczność sojuszu z Wyspiarzami. I jeszcze na jedno wskazuje dziełko Hitlera. Oto kilka cytatów:

1) "Granice z 1914 roku nie znaczą nic w odniesieniu do przyszłości Niemiec. Nie były ochroną w przeszłości i nie oznaczałyby siły w przyszłości. Nie dałyby niemieckiemu narodowi wewnętrznej solidarności ani nie zaopatrzyły go w żywność. Z wojskowego punktu widzenia nie byłyby odpowiednie czy nawet zadowalające ani nie poprawiłyby naszej obecnej sytuacji w stosunku do innych światowych potęg, które są nimi w rzeczywistości. Tylko jedna rzecz jest pewna. Każda próba przywrócenia granic z 1914 roku, nawet gdyby się powiodła, doprowadziłaby jedynie do dalszego rozlewu naszej narodowej krwi, aż nie pozostałby nikt godny uwagi i nadający się do podejmowania decyzji oraz działań, które mają zmienić życie i przyszłość narodu. ". mowa tu rzecz jasna o granicy z Francją... o ponowny zabór Alzacji i Lotaryngii.

2) i kolejny "Żądanie przywrócenia granic z 1914 roku jest politycznie nierozsądne. Jednak ci, którzy upierają się przy tym, głoszą to jako cel swojego działania w polityce i przez takie postępowanie zmierzają do konsolidacji wrogiego sojuszu, który w przeciwnym wypadku rozpadłby się w naturalny sposób. Jest to jedyne wytłumaczenie, dlaczego osiem lat po światowej wojnie, w której państwa z odmiennymi dążeniami i celami brały udział, zwycięska koalicja potrafi wytrwać w bardziej lub mniej trwałym kształcie".

3) "Francja również musi być zaliczona do tej grupy. Ciągle powiększa swoją armię o kolorowych żołnierzy rekrutujących się z różnych narodów jej rozległego imperium. Jeżeli Francja będzie dalej postępowała tak, jak robi to od trzystu lat, to będzie miała silne, zamknięte terytorium od Renu po Kongo,

wypełnione rodzajem ludzkim coraz bardziej zwyrodniałym. Tym francuska polityka kolonialna różni się od poprzedniej polityki Niemiec".

4) Całość zamknąć należy tym cytatem: "Dyskusja o tym, czy była szansa, czy nie na militarny sukces w walce przeciwko Francji, wydaje się bezużyteczną".

Co z tego wynika? Zachód miał ze strony Niemiec Hitlera zapewnione bezpieczeństwo. Jest zatem z zakresu political fiction twierdzenie, jakoby Piłsudski w całości i ze zrozumieniem przeczytał Mein Kampf. Albo nie przeczytał, albo przeczytał i niczego nie zrozumiał. Przepowiednia o wyradzaniu się narodu francuskiego, choć ciekawa, dotyczy raczej konca XXw. i XXIw. zatem tu nie ma co się nią zajmować. Jest w tej książeczce, programowej dla polityki

zagranicznej Hitlera, udzielona Francji gwarancja nienaruszalności jej granicy północno-wschodniej. Jest zawarte przekonanie, że armii francuskiej pokonać nie sposób, zatem nie ma co Francji atakować. Z drugiej strony Francja, mająca takie gwarancje, do wojny nie bedzie się szykować. Zatem, do Francji nie należało wysyłać nikogo z jakąkolwiek misją, chyba że Wieniawę-Długoszowskiego, by mógł rozbijać się po restauracjach, kokietować paryskie kokoty i delektować się frutti di mare. Działania, które usiłował podjąć starzejacy się Dziadek, zbiorczo określane jako wojna prawencyjna, były działaniami pozbawionymi podstaw.

Cóż było robić, by zachować pokój i to nieco dłużej, niż go zachowano tj. przez lat sześć. Piłsudski podpisał z Hitlerem pakt o nieagresjii. To było mało.

Tak samo jak Piłsudski czytał (ale chyba jednak nie czytał, czytał może urywki) Mein Kampf, tak samo czytał, przetłumaczone na rosyjski, wypociny malarza z Wiednia Stalin. Po przeczytaniu zamknął to w sejfie i nikt w Sowietach legalnie nie mógł tego kupić i czytać. Stalin wiedział, że czeka go wojna z Hitlerem. Przygotowywał kraj do tej wojny, aczkolwiek źle, bo nie do działań obronnych, lecz do wojny napastniczej. To go chwilowo zgubiło, gdy Hitler zaatakował Sowiety.

Ale skoro i Stalin i Piłsudski wiedzieli to samo, tj. że Hiter na nich napadnie, to dlaczego nie zawarli sojuszu? W 1939 r. Zachód oczekiwał od Becka takiego sojuszu, bo przecież sam, w świetle Mein Kampf nie miał czego się obawiać. Jego brak kosztował naród polski i narody związku sowieckiego po kilka milionów istnień ludzkich. Brak tego sojuszu w obliczu wspólnego zagrożenia obciąża Piłsudskiego i cały obóz sanacyjny. Wysuniety na polskiego dyplomatę Beck nie uświadamiał sobie, że jak napisał Hitler w Mein Kampf "(…) zadaniem dyplomacji jest zajęcie się tym, żeby naród nie ginął heroicznie, ale żeby został zachowany przez wykorzystanie wszystkich praktycznych środków. Wtedy każda droga prowadząca do tego celu jest właściwa, a nie podążanie nią jest oczywistą zbrodnią i skandalicznym zaniedbaniem podstawowych obowiązków (...)". Piłsudski o tym wiedział, ale pozostawiona po nim u władzy kamarylla sanacyjna, nie rozumiejąc tego, właśnie ten obowiązek zaniedbała, popełniając zbrodnię na własnym narodzie. Tyle wynika z tej telewizyjnej political fiction. Taki jest morał z tej bajki o starym, schorowanym Dziadku.

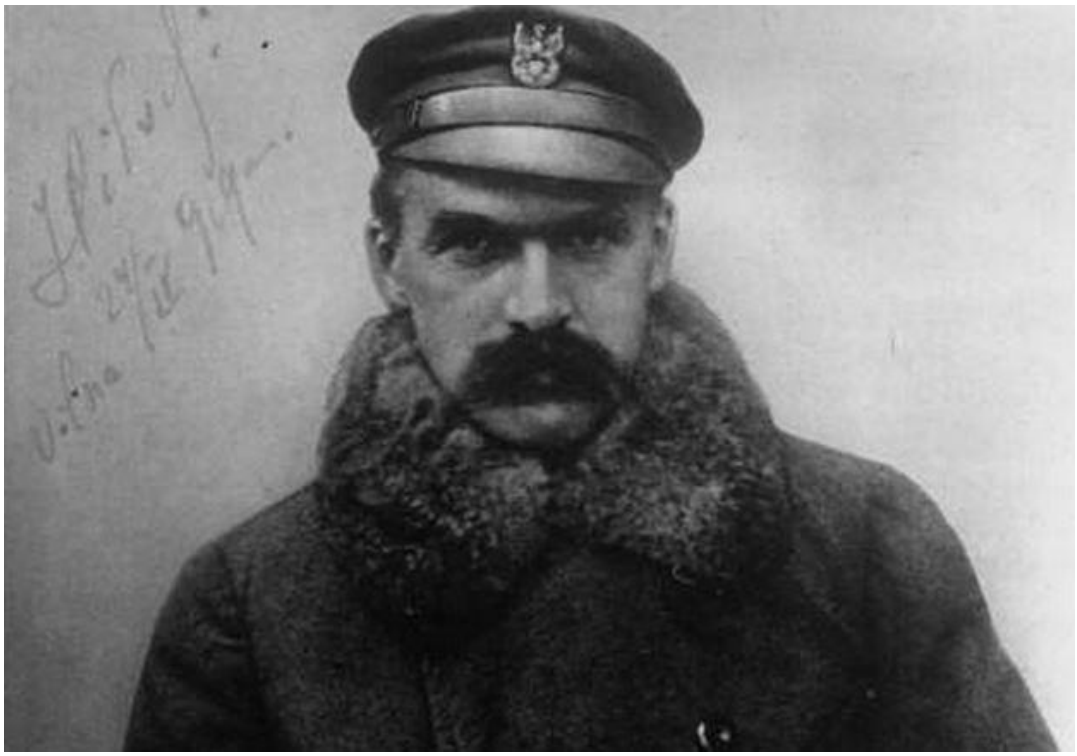

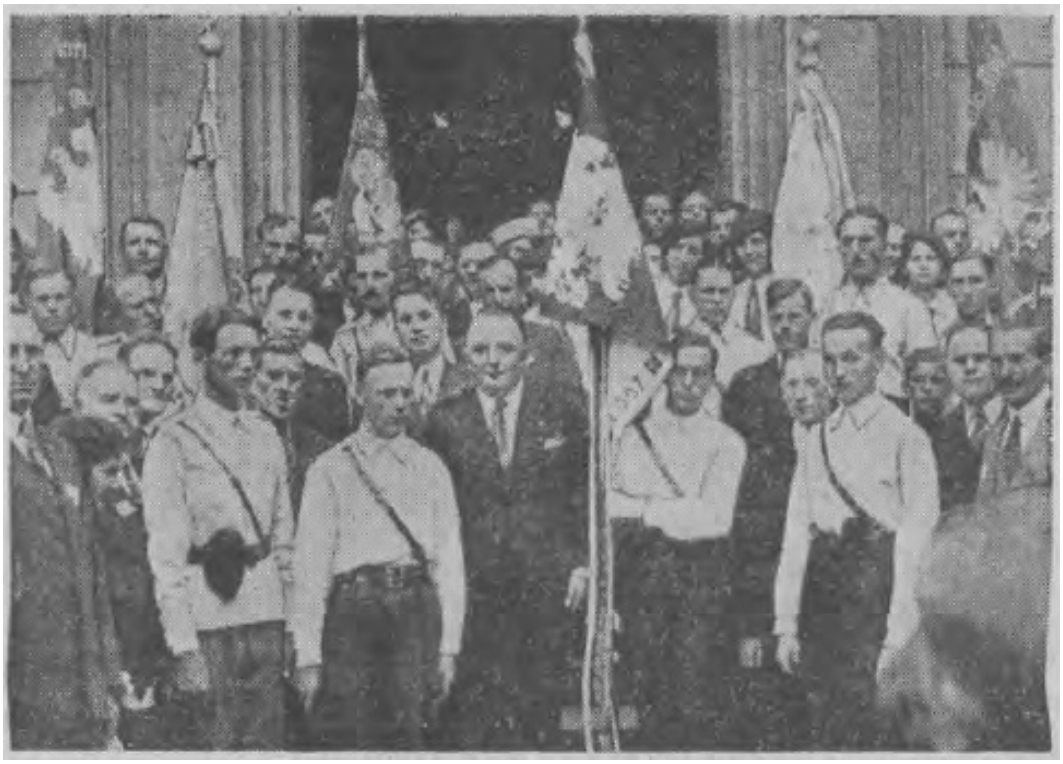

Od autora: Tekst ten napisałem w ubiegłym roku, tuż przed kolejną rocznicą egzekucji Stu Straconych. W związku z całym zamieszaniem wokół postaci Kazimierza Kowalskiego postanowiłem go ponownie opublikować, bo pozostaje on nadal aktualny.

W najbliższą niedzielę - 20 marca - minie 74. już rocznica największej publicznej egzekucji dokonanej przez Niemców na terenie tzw. Kraju Warty - czyli egzekucji Stu Straconych w moim rodzinnym Zgierzu. Los chciał, że w ten sposób ze Zgierzem splotła się postać adwokata Kazimierza Kowalskiego, prezesa Stronnictwa Narodowego i organizatora sił narodowych w Łodzi.

Nie będę opisywał w tym tekście szczegółowo życiorysu Kazimierza Kowalskiego - jeśli ktoś z PT. Czytelników nie poznał dokładniej życiorysu tego człowieka, powinien bez trudu znaleźć w parę minut w internecie jakiś dłuższy lub krótszy tekst o nim. Zresztą zachęcam do zapoznania się - jeżeli będziecie mieli taką możliwość - z biografią Kazimierza Kowalskiego pióra Mariusza Maraska, która została parę lat temu wydana przez Towarzystwo Przyjaciół Zgierza.

Dlaczego Kazimierz Kowalski jest wzorem narodowca na dzisiejsze czasy? Otóż, w dzisiejszych czasach możemy zaobserwować nagromadzenie rozmaitych organizacji narodowych. Nie jest to, co prawda, nic nowego - przedwojenny ruch narodowy też był czasem podzielony, ale podział obozu narodowego (w sensie ściśle organizacyjnym) dokonywał się też pod względem podejmowanych działań - wszak obok Stronnictwa Narodowego równolegle działała akademicka Młodzież Wszechpolska, nielegalny "Pet", stowarzyszenia gospodarcze (takie jak "Rozwój"), związki zawodowe etc. etc. Ale to co cementowało przedwojenny ruch narodowy - to jedność kierunku, który zresztą uosabiała postać Romana Dmowskiego (który przed wodzostwem się bronił). A nawet gdy doszło do znaczących podziałów (vide fronda ONR-u) to spór na narodowej prawicy był cokolwiek stonowany, o co zabiegał sam Dmowski.

Co mamy dzisiaj? Prawie każdy prawdziwy lub samozwańczy narodowiec twierdzi, że to on odnalazł jedynie słuszną drogę i to on w najprawdziwszy sposób odzwierciedla ideę Romana Dmowskiego (to odtwórstwo i historyzm jest poniekąd największą słabością polskiego obozu narodowego). I mamy: RN, MW, ONR, Narodowcy RP, środowisko "starej" endecji skupione wokół "Myśli Polskiej", Jedność Narodu... Każdy szarpie ten postaw sukna, chciałoby się powtórzyć za Bogusławem Radziwiłłem!

Ale do rzeczy - Kazimierz Kowalski otóż, nie był wielkim ideologiem. W porównaniu do ideologów ówczesnego ONR (Mosdorf, Tadeusz Gluziński, Bolesław Piasecki), czy niektórych "młodych" SN (Jędrzej Giertych, Tadeusz Bielecki) nie starał się dokonywać "egzegezy" myśli narodowej i tworzyć jej nowe mutacje (bynajmniej nie uważam tej pracy za szkodliwą!). Kowalski był organizatorem, i można powiedzieć, człowiekiem pozostającym w cieniu. Jego wytrwała praca organizacyjna doprowadziła do druzgocącego zwycięstwa obozu narodowego w wyborach do Rady Miejskiej Łodzi w roku 1934. Przyrost kół SN w Łodzi dokonywał się za jego prezesury w postępie geometrycznym! Zresztą, planował on dalsze prace nad rozwojem Stronnictwa w Łodzi, z chwilą opuszczenia funkcji prezesa SN w 1939 roku. Wojna te plany przekreśliła...

Nie oznacza to oczywiście, że Kazimierz Kowalski nie posiadał własnych poglądów. Potrafił jasno przeciwstawić się Tadeuszowi Bieleckiemu, który dopuszczał myśl o porozumieniu z pewną grupą "sanatorów" (aktualna nauka na dziś) i domagać się kategorycznie oporu wobec hitlerowskich Niemiec.

Notabene, Kowalski w pierwszych miesiącach okupacji związał się z Narodowo-Ludową Organizacją Wojskową, opozycyjną wobec utworzonej przez SN Narodowej Organizacji Wojskowej. Trudno ocenić tego przyczyny, faktem pozostaje, że dość szybko N-LOW opuścił, powracając do utworzonej przez większość działaczy przedwojennego SN NOW. Aresztowany przez Niemców, ginie w egzekucji 20 marca 1942 roku.

Niech jego działalność i ofiarność w pomnażaniu szeregów łódzkiego Stronnictwa Narodowego pozostanie dla nas nauką - bo bez tego nawet najlepiej wyłożona "egzegeza" myśli narodowej nie zdobędzie poparcia. I pamiętajmy też - naczelnym przeciwnikiem politycznym dla K. Kowalskiego była sanacja, komuniści czy też Niemcy, a nie - zresztą marginalne podówczas - odłamy ruchu narodowego w Łodzi.

Te dwa punkty narodowcy czasów obecnych powinni sobie wziąć do serca, bo niestety, najpoważniejszy obecnie gracz po narodowej stronie sceny politycznej, czyli Ruch Narodowy, który te idee próbował wcielać w życie, wskutek różnych uprzedzeń, fobii i irracjonalnych politycznie zachowań znajduje się w stanie głębokiej stagnacji. Są wzory z przeszłości - wystarczy tylko przystosować te zachowania do dzisiejszej sytuacji...

Na naszych oczach obserwujemy dokonujący się proces (a w zasadzie już ukończony) ostatecznego kompromitowania wizerunku obozu narodowego. Słowo „narodowcy” odmieniane jest przez wszystkie przypadki w najbardziej negatywnych kontekstach, wszędzie tam, gdzie osoby podstawione (prowokatorzy), chore psychicznie bądź w najlepszym wypadku pozbawione elementarnego pojęcia o polityce, dokonują jakiegoś bezmyślnego czynu.

A to wystąpią z hasłem rasistowskim, a to ogłoszą, że nie wpuszczą gdzieś Żydów, a to krzykami nie dopuszczą (przez chwilę) do wystąpienia jakichś Michników, czy innych Baumanów, a to jakąś mądrość wygłosi ex-ksiądz, a to powieszą portrety posłów (na wzór polskich jakobinów), a to lubują się w marszach z wykorzystaniem emploi z lat 30-tych XX wieku, czy wreszcie agitują za wypuszczeniem z więzienia w RPA mordercy Walusia. Jakby tego ostatniego było mało, łódzki oddział ONR ogłosił zapisy na turniej halowy piłki nożnej im. rzeczonego Walusia! Jeśliby ktoś, jakiś wywiad, służby specjalne, czy wroga grupa polityczna, chciały zrobić coś złego ruchowi narodowemu, nie wymyśliłyby niczego lepszego!

W przypadku Janusza Walusia, przypominam, zabójcy komunistycznego działacza murzyńskiego w RPA, Chrisa Haniego, w trakcie popełniania morderstwa posiadającego obywatelstwo RPA i będącego członkiem skrajnego ugrupowania dążącego do zachowania apartheidu i storpedowania porozumienia De Klerk – Mandela, i skazanego zgodnie z prawem i prawomocnie, trzeba powiedzieć kilka słów więcej. Angażowanie się ludzi kojarzonych z ruchem narodowym w sprawę tego pana jest kolejnym przykładem dramatycznego strzelania sobie w stopę. Przy czym, jakaś ukryta prawda, jeśli takowa istnieje wokół tego zabójstwa politycznego, w co osobiście wątpię, nie ma tu żadnego znaczenia.

Także to, że po zabójstwie Narutowicza przez ex-narodowca i całego zła, jakie dla reputacji endecji stąd wyniknęło, wydawać by się mogło, że mordy polityczne jako metodę ostatecznie odrzucono na gruncie naszego ruchu. Liczy się kontekst, a ten jest taki, że narodowcy włączają się w sprawę uwolnienia (z odbywania kary… dożywotniego więzienia; pierwotnie Waluś był skazany na karę śmierci, ale amnestia zmieniła mu wymiar kary) mordercy (sprawa oczywista) i rasisty (nie wiem, czy prywatnie p. Walus jest czy nie jest rasistą, ale należał do ugrupowania w oczywisty sposób rasistowskiego). Ergo, narodowcy są rasistami i zwolennikami mordów politycznych. Wydaje się, że te oczywiste prawdy powinny być czytelne dla ludzi uważających się za część naszego obozu…

A przecież fanatycy – vide turniej piłki nożnej – idą dalej. Portal nacjonalista.pl napisał w 2016 r. (i jest to narracja stale obecna w tych środowiskach): „Janusz Waluś – polski bohater, który zlikwidował lidera południowoafrykańskich

komunistów i sowieckiego agenta Chrisa Haniego". Tymczasem, to nie jest ani polska sprawa, ani sprawa polskich narodowców, tylko sprawa wewnętrzna RPA. Polscy narodowcy to nie są narodowi rewolucjoniści, którzy dla jakichś globalnych idei nacjonalistycznych walczą na każdym froncie geograficznym, gdzie ich los rzuci. W tym uwielbieniu dla Walusia i jego czynu jest jednak także wyraźne naśladownictwo retoryki stosowanej wobec lewicy proradzieckiej w okresie II wojny światowej – tam też o zabijaniu komunistów mówi się jak o zbieraniu grzybów – lekko i z poczuciem dumy.

Dziwi tym mocniej zaangażowanie (ex-)posłów Ruchu Narodowego w te sprawę. Zwłaszcza wobec faktu, że tutaj wykazując się odwagą (?), w innej sprawie, i to naszej polskiej, żywotnie nas wszystkich dotyczącej, w sprawie więzionego już półtora roku bez postawienia zarzutów, Mateusza Piskorskiego, nie można się od jedynych naszych (?) przedstawicieli w Sejmie doprosić jakiejkolwiek reakcji, w postaci interpelacji czy zapytania, o konferencji prasowej już nawet nie marząc. Bez względu na zgadzanie się czy niezgadzanie z jego poglądami – bo to sprawa o konstytucyjną wolność sumienia i przekonań. Powiedzmy sobie wprost – wykazują się odwagą tam, gdzie jest ona najtańsza.

W kontekście sprawy Walusia, przyjmując jako pozytywne oświadczenie organizacji narodowych po Marszu Niepodległości o odrzuceniu rasizmu i wszelkich doktryn bazujących na pojęciu rasy, nie można nie odnieść jednak wrażenia małej wiarygodności takiego wystąpienia. Fakty są oczywiste i tragiczne – reputacja ruchu narodowego została już w powszechnej świadomości Polaków całkowicie zdruzgotana. Nie potrzeba było do tego pisać książek czy artykułów udowadniających zło endecji, nie potrzeba było debat, nie potrzeba było niczego w istocie. Wystarczyła głupota pseudonarodowców, ludzi uważających się nie wiedzieć czemu za takowych.

Nasi polityczni wrogowie praktycznie nie zrobili nic, bo nie musieli nic robić. Za przerażające upodlenie wielkiego ongiś ruchu niemal w całości odpowiadają ludzie w szerokim tego słowa znaczeniu go tworzący. To nie, dajmy na to, „Myśl Polska" dzisiaj, czy 25 lat temu „Słowo Narodowe" czy pierwszy „Szczerbiec", są twarzami ruchu narodowego, ale fanatycy o szczelinowej „inteligencji", psychopaci, młodzieńcy, dla których krańcowym szczęściem jest rozpalenie racy i wykrzyczenie hasła, które nie ma albo nic wspólnego z rzeczywistością ani z nimi samymi. Kłania się porażający brak formacji, akceptacja obcych ruchowi narodowemu haseł i zachowań, kompletna bezrefleksyjność historyczna i polityczna – pytanie, czy ci, którzy do tego doprowadzili działali z własnego przekonania, czy na zlecenie?

Dla większości Polaków narodowiec („narodowiec") to przygłup, ograniczający swój dramatyczny wysiłek umysłowy do nienawiści, jako uczucia najbardziej prymitywnego. I nie sądźmy, że to tylko tzw. strona lewicowo-liberalna jest z tego szalenie zadowolona. Zadowolony jest także i PiS, któremu tylko w to graj. Zobaczmy - zawsze od razu znajduje się ważny pisowiec, który potępia zachowanie owych narodowców („narodowców"). Patrzcie – mówią, nie chcecie nas, to zobaczcie, kto przyjdzie po nas. A pani wiceminister kultury Magdalena Gawin dywaguje nawet o konieczności zdelegalizowania ONR. I Polacy, w swej masie bardzo politycznie słabo zorientowani, ale instynktownie nie lubiący agresji i skrajności, pomyślą – no tak, PiS ma rację i nie ma dla niego alternatywy.

W ten sposób rozłożono na łopatki cały nurt polityki polskiej, który przyniósł nam niepodległość. Wszystkie te bezmyślne zachowania idą na konto ruchu, kładą się cieniem na jego historię, idą na nasze konto. Już nikt, poza wąskimi kręgami akademickimi i niszowymi gazetami i środowiskami, nie pamięta, że ten wielki ruch był przede wszystkim ruchem intelektualnym, mocnym inteligencją tych, którzy go tworzyli, ich oczytaniem, często erudycją, szerokimi horyzontami intelektu, umiejętnością myślenia politycznego i wnioskowania, zdolnością do refleksji i autorefleksji. Dziś wszyscy ci, którzy to rozumieją i stanowią (niewątpliwie i niestety) epigońską grupę intelektualnej endecji, tkwiącą na marginesie wydarzeń, z wielkim żalem a czasem z bezsilną złością obserwują tę degrengoladę dokonywaną rękami swoich(?). Ratunkiem jest wyłącznie głębokie oczyszczenie szeregów, jasne zdefiniowanie pryncypiów i celów, oraz odcięcie wszystkich tych, którzy nie potrafią lub nie chcą ich zrozumieć. Inaczej pozostaniemy marginesem wyciąganym od czasu do czasu dla straszenia dzieci i maluczkich.

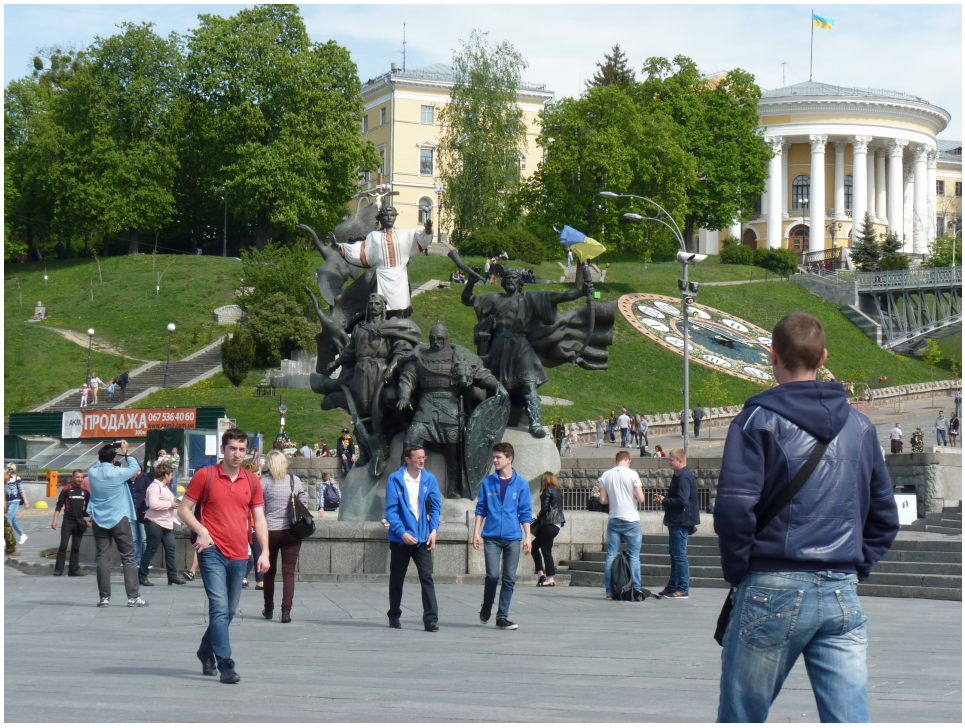

Dobrze że powstał filmowy dokument o sowieckiej zbrodni na Polakach

Można pozostać w domu, albo uczestniczyć w czymś, co poszerza horyzonty, porządkuje spojrzenie na przeszłość i wizję przyszłości. Bez znajomości tego, co było, nie jesteśmy w stanie stąpać pewnie ku przyszłości. W jakiejś mierze gramy w ruską ruletkę ...

Los Polaków w Związku Sowieckim po traktacie ryskim to jedna z najmniej przebadanych a zarazem niezwykle krwawych kart z dziejów Narodu Polskiego. O ile Katyń był przez dziesięciolecia ukrywany i zakłamywany, to krwawe pokłosie decyzji 'operacji polskiej', mimo ogromu tej zbrodni, jest nieznane w powszechnej świadomości polskiej. Wynika to w znacznej mierze z niedostępności sowieckich archiwów NKWD. Są one jak zatrzaśnięty świat. Przypomina to też w dużej mierze ostatnią scenę filmu 'Poszukiwacze zaginionej arki', gdy kamera ze zbliżenia oddala się i pokazuje gigantyczny magazyn. Kto nie widział tej sceny niech zapyta innych. To bardzo wymowna scena pokazująca, jak w najbardziej perfidny sposób ukryć można niewygodną prawdę.

Był krótki okres, około ćwierć wieku temu, gdy w miarę swobodnie można było docierać do niektórych archiwaliów w Sowietach. Skorzystał z tego m.in. Włodzimierz Bukowski, który wówczas skanował tysiące stron nieznanych wcześniej dokumentów. Podobnie – czyniąc odpisy i kserokopie – postąpił, nawet nieco wcześniej, mieszkający wówczas jeszcze Brześciu Litewskim na Białorusi, historyk Mikołaj Iwanow. Jako obywatel sowiecki uzyskał dostęp do archiwaliów NKWD, głównie tych znajdujących się w Mińsku. Mikołaj Iwanow już w 1991 roku na ich podstawie opublikował we Wrocławiu pracę historyczną 'Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921-1939'. Ukazuje w niej m.in. także zbrodnie na Polakach w latach 1937-1938.

W ostatnich latach dużo materiałów odnośnie rozkazu operacyjnego 00485 NKWD zebrał także dr Tomasz Sommer. Pozwoliło mu to na napisanie, znaczącej dla tego zagadnienia, pracy 'Operacja antypolska NKWD 1937-1938'. Dokonał tego w trudnych warunkach ponownego braku dostępu do archiwaliów na terenie Rosji i Białorusi. Lepiej jest tylko na Ukrainie, czy też w niektórych odległych od nas republikach, które oderwały się od Związku Sowieckiego ćwierć wieku temu. Ale Tomasz Sommer poszedł dalej i postanowił, wraz z Władysławem Majerankiem,

w sposób bardziej przystępny dla współczesnego społeczeństwa udostępnić straszliwą prawdę o mordzie i wypędzeniu Polaków z tzw. dalszych Kresów Rzeczypospolitej, tych leżących już poza ryską granicą z 1921 roku. Powstał więc filmowy dokument 'Rozstrzelać Polaków'. Ten godzinny film – przypominający nieco filmową stylistykę dokumentów Grzegorza Brauna, choć jest bardziej reportażowy – pokazuje dramat Polaków w Rosji sowieckiej zapoczątkowany rozkazem 00485 NKWD z 11 sierpnia 1937 roku.

Trzeba wyjaśnić, że operacja antypolska NKWD, prowadzona przez ponad rok, była w rzeczywistości etnicznym ludobójstwem w odniesieniu do Polaków. W trakcie jej trwania, bo aż do listopada 1938 roku, statystyczny Polak mieszkający w Sowietach miał bez własnego wyboru 20-30 razy większą 'szansę' na śmierć z rąk NKWD, niż obywatel sowiecki innej narodowości. Rosja sowiecka przed rokiem 1939 liczyła ok. 175 mln mieszkańców. W czasie 'wielkiego terroru' z lat 1937-1938 funkcjonariusze NKWD wymordowali około jednego miliona własnych obywateli, z tego aż 200 tys. Polaków. Głównymi polskimi ofiarami mordów byli mężczyźni w sile wieku od 18 do 60 roku życia. Śmierć mogło ponieść wówczas nawet 90% dorosłej męskiej populacji tamtejszych Polaków. Zgodnie z sowieckimi 'zasadami prawnymi' rodzinom zamordowanych konfiskowano całą własność – w tym domostwa i pola uprawne. Żona i dzieci byli wyrzucani z domów a później – jako bezdomni i bez źródeł utrzymania – wywożeni do azjatyckiej części sowieckiego imperium. Część dzieci trafiała do sowieckich przytułków, gdzie je rusyfikowano w przyspieszonym tempie.

Dobrze się więc stało, że dzięki własnym badaniom i wysiłkom Tomasza Sommera, także tych w zakresie pozyskania przychylności instytucji i darczyńców, mógł powstać dokument filmowy o tym mówiący. Przedpremierowa projekcja i spotkanie z twórcą filmu miały miejsce w Łodzi 21 września w sali kinowej Stowarzyszenia Chrześcijańskich Robotników przy Tuwima 34, stowarzyszenia zasłużonego dla polskości a utworzonego jeszcze na początku XX wieku. Organizatorami spotkania były Klub ProPolonia oraz łódzki klub czytelników 'Najwyższego Czasu'. Film powstał m.in. dzięki Instytutowi Pamięci Narodowej i ma być wyemitowany na jednym z kanałów TVP. Można mieć nadzieję, że przyczyni się w pewnej mierze do poznania przez współczesnych Polaków tragicznych losów naszych braci w Związku Sowieckim po pierwszej wojnie światowej.

Warto także odnotować fakt, że dopiero niedawno, bo dopiero w niedzielę 24 września, odsłonięto w Poznaniu pierwszą w Polsce tablicę poświęconą 'operacji (anty)polskiej' z lat 1937-1938. Jeżeli to zestawić z licznymi upamiętnieniami na terenie Polski zbrodni katyńskiej a nawet nieodległej przecież w czasie tragedii smoleńskiej, to widzimy, jak wielkie luki są nadal w naszej narodowej pamięci i jak wiele zrobić jeszcze trzeba w tym zakresie. Co więcej, może ten film niektórym uzmysłowi, jak wielkim narodowym zaniedbaniem było przez lata udawanie, że nie ma Polaków w Rosji, na Syberii, w Kazachstanie i Azji Środkowej. A przecież działania podjęte w ramach 'operacji polskiej' wystąpiły na olbrzymim obszarze Związku Sowieckiego od Petersburga, Mińska, czy też Winnicy i Żytomierza na zachodzie aż po Syberię i rosyjski Władywostok na Dalekim Wschodzie. Z dala od Polski żyją nadal tysiące zesłańców i potomków tych, którzy znaleźli się tam w wyniku konsekwencji rozkazu operacyjnego 00486, który uzupełniał wcześniejszy rozkaz 00485, a dotyczył wywiezienia rodzin osób zamordowanych. Nie powinno nas więc dziwić, że wiele z tych osób ma dzisiaj niepolskie nazwiska, skoro mordy dotknęły głównie mężczyzn w sile wieku. Wdowy, młode kobiety i dorastające dziewczęta nie miały wyboru, jeżeli chciały wyjść za mąż. O tym dramacie należy także pamiętać, gdyż bardzo trudno było utrzymać język polski, gdy z dala od ziem ojczystych chodziło się do rosyjskiej szkoły a małżonek nie był Polakiem. W rodzinach wywiezionych trwała także wielka obawa, że trwanie przy polskości przyniesie kolejne upokorzenia i cierpienia. W wielu rodzinach zakazywano dzieciom mówić po polsku. Lata 1937-1938 wycisnęły potężne piętno na tysiącach naszych rodaków rzuconych tysiące kilometrów od ziem dawnej Rzeczypospolitej.

Obok powstania filmowego dokumentu o 'operacji polskiej' NKWD, pozytywnie należy także ocenić zorganizowanie pod koniec września w Warszawie międzynarodowej konferencji z udziałem prezydenta Polski a poświęconej temu właśnie zagadnieniu. Zaproszeni prelegenci – profesorowie Mikołaj Iwanow, Andrzej Nowak, dr Nikita Pietrow z moskiewskiego 'Memoriału' i prezes IPN dr Jarosław Szarek w swoich wystąpieniach ukazali tło i

przebieg zbrodni. Wszyscy uczestnicy konferencji zgodzili się z tezą, że zbrodnia katyńska, obława augustowska i inne tego typu działania były kontynuacją ‘operacji polskiej’ z lat 1937-1938. Warto podkreślić, że IPN a także Poczta Polska starają się dotrzeć z wiedzą o tych wydarzeniach do młodzieży i do społeczeństwa. Dzięki staraniom IPN każda szkoła otrzymała w tym roku tekę edukacyjną temu zagadnieniu poświęconą. Z wielkim uznaniem należy także odnieść się do niedawnych działań Poczty Polskiej, która wydała znaczek poświęcony ‘operacji polskiej’ i co należy podkreślić wydany on został w dużym nakładzie. W Krakowie 23 października – przy tej okazji – na tamtejszej Poczcie Głównej nastąpiło otwarcie wystawy o tej tematyce. W jej trakcie odbyło się także spotkanie z prof. Mikołajem Iwanowem, autorem wydanej w 2014 roku książki „Zapomniane ludobójstwo. Polacy w państwie Stalina. ‘Operacja polska’ 1937-1938”, człowiekiem szczególnie zasłużonym w Polsce dla poznania tej wyjątkowo okrutnej i nieludzkiej antypolskiej operacji NKWD w stosunku do Polaków mieszkających na dalszych Kresach a także w innych miejscach rozległego sowieckiego imperium zła.

W zakończeniu musimy postawić sobie także pytanie, czy ‘operacja polska’ NKWD i jej dalekosiężne następstwa, już na stałe wejdą do polskiej świadomości narodowej – czy też jest to jedynie chwilowe, rocznicowe, zainteresowanie w końcówce 2017 roku, bo na razie nawet dokładnie nie wiadomo, kiedy odbędzie się premierowa prezentacja filmu Tomasza Sommera w telewizji publicznej, która przecież nieść powinna szczególną misję publiczną, jaką jest pamięć o naszej historii?

Kwarta trzecia 1907 - 1918

Czerwony tramwaj wiózł Piłsudskiego nadal, ale coraz mniej mu się podobał, jako że podróż nim była mało owocna. Nie mając ku temu przygotowania teoretycznego podjął się organizowania na terenie Galicji formacji paramilitarnych. By było to możliwe, tym razem wywiadowi cesarsko-królewskiemu zaoferował "serdeczne usługi". Oferta została przyjęta i od 1908r. Piłsudski formalnie rzecz biorąc pełnił usługi na rzecz austro-węgierskiego wywiadu. Był na kontakcie operacyjnym i miał ificerów prowadzących.

Prowadzeniu działalności paramilitarnej miał służyć Związek Walki Czynnej, założony we Lwowie, którym kierował Kazimierz Sosnkowski oraz inne formacje. W 1912 Józef Piłsudski został wybrany na Komendanta Głównego Związku Strzeleckiego i przyjął pseudonim Mieczysław. Szefem jego sztabu został Kazimierz Sosnkowski.

Orientacja austriacka była politycznym uzasadnieniem, leitmotivem całej tej trzeciej kwarty życia Piłsudskiego. W Galicji panował względnie liberalna polityka narodowa tu naród polski cieszył się bajwiększą wolnością. Orientacja proaustriacka polegała po prostu na myśli przyłączenia do Galicji Kongresówki, co królewiakom dałoby analogiczną wolność jaką mieli Polacy w Galicji. Pomysł dobry, lecz nie mierzony podług sił Austro-Węgier i nieuwzględniający zwasalowania tego państwa przez kaiserowskie Niemcy i ich dominacji w tym "niemieckim" sojuszu. W efekcie orientacja ta szła na rękę Niemcom i do zwiększenia autonomi Kongresówki doprowadzić nie mogła.

Piłsudski tego nie rozumiał, a kiedy zrozumiał było już za późno. Niemcy wygrywające na froncie wschodnim zaproponowali Aktem 5 listopada 1916r. Królestwo Polskie, będące okrojoną od zachodu Kongresówką. Półtora roku później podarowali Ukraińcom Chełmszczyznę. Piłsudski przebywał wtedy w Magdeburskim więzieniu, a jego legioniści w Szczypiornie. Niczym skończony polityk i weteran wojenny pisze wspomnienia. To wtedy napisał "Moje pierwsze boje". Tak zakończył się ten słynny czyn legionowy, który tak naprawdę był przelewaniem żołnierskiej krwi o nic. Pozostały po nim piosenki żołnierskie, jak choćby ta autorstwa Alfonsa Dzięciołowskiego:

"Pieśń o Józefie Piłsudskim"

Ani kontusz na nim aksamitny,
Ani pas go zdobi lity, słucki,
W szarej burce, lecz duchem błękitny
Jedzie polem brygadier Piłsudski.
Ręce cicho na łęku oparte,
Patrzy twardo w wir śnieżnej zawiei,
Śród pustkowia sprawuje swą wartę,
Nieśmiertelnej brygadier nadziei."

Wszystko to piękne, jak w każdej bajce, w każdym micie, lecz bezowoce. Był 22 lipca 1917r. Piłsudski dobiegał lat pięćdziesięciu. Po osadzeniu go w więzieniu i rozwiązaniu przez Niemcy jego wojska był człowiekiem z niczym. Orientacja austriacka okazała się niewypałem. Była przy jego nazwisku jedynie sława w połowie amatorskiego wojaka, w połowie męczennika.

Stolica Estonii wita nas piękną pogodą. Wjeżdżamy do miasta letnim wieczorem. Kierujemy się do centrum, a pomocą w jego osiągnięciu są rozległe arterie komunikacyjne, które przecinają miasto wzdłuż i wszerz. Znów odnosimy wrażenie, że ruch jest znacznie mniejszy niż w Polsce, łatwiej utrzymać jego płynność, w czym pomagają znaki wskazujące na prędkość, jaką należy rozwinąć, aby „wpisać się" w tzw. zieloną linię.

Nasza baza położona jest naprzeciwko kwadratu nowoczesnych wysokościowców, stanowiących bankowo-biznesowo-hotelowe centrum nowego Tallina, przy ulicy prowadzącej prosto do terminali promowych oddalonych o niewiele ponad 1 km. Blok, w którym mieszkamy prezentuje się bardzo ładnie. Za nim rozciąga się osiedle czteropiętrowców, bardzo podobne do polskich blokowisk. Jako że jesteśmy w centrum, parkowanie na okolicznych ulicach jest dość drogie (obowiązkowo płatne w godz. 7-19; za dwanaście godzin wychodzi 18 euro). Rozwiązaniem dla chcących zaoszczędzić jest położone w pobliżu targowisko osiedlowe, którego właściciele udostępniają własny parking, gdzie za 24 godziny postoju samochodu płaci się jedynie 3,20 euro.

Chociaż o parkingu targowym wiemy od przemiłej właścicielki mieszkania, które wynajmujemy, ludzie z najbliższych straganów, ale i z pobliskiej kawiarni, widząc obcą rejestrację, sami podchodzą do nas, oferując nam pomoc i tłumacząc zasady postoju. Pierwszym językiem jest, jak często podczas naszej wyprawy, rosyjski, dziewczyna z kafejki mówi po angielsku, ale okazuje się, że niektórzy sprzedawcy warzyw i owoców pracowali wcześniej w Polsce i dobrze mówią także w języku polskim. To są oczywiście rzeczy błahe, ale sprawiają nam wiele przyziemnej, ale jakże potrzebnej, przyjemności i dają poczucie otaczającej nas sympatii.

Nowe centrum miasta znajduje się jakby na drugiej linii obwodnicy Starego Miasta. Kolejny dzień postanawiamy spędzić na zwiedzeniu tego właśnie miejsca. Choć przed nami szereg ulic nowego centrum, na których trwają budowy i remonty oraz dwie szerokie arterie, decydujemy się na wycieczkę pieszą. Na Stare Miasto wchodzimy od strony Teatru Dramatycznego, w miejscu gdzie akurat brak jest murów okalających. Kompleks Starego Miasta w Tallinie, z dominującą zabudową średniowieczną, przede wszystkim gotycką i renesansową, ubogaconą w późniejszych wiekach głównie architekturą klasycystyczną, słusznie znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

Otoczony jest mniej więcej w 70% oryginalnymi murami obronnymi oraz rozległymi błoniami. Całość zamknięta jest w środku węzła szerokich ulic, stanowiących obwodnicę oddzielającą Stare Miasto od zgiełku codziennego ruchu drogowego, ale także od linii kolejowej.

Stare Miasto dzieli się na Górne i Dolne. Górne, położone jest rzeczywiście wyraźnie wyżej. Idąc wzdłuż kilkusetletnich murów przedostajemy się do Górnego Miasta wąską uliczką o całkiem solidnej stromiźnie. Po drodze mijamy lokal o nazwie „Rewel". To stara nazwa miasta, które nosiło ją przez niemal 700 lat (1219-1918)! Choć Górne Miasto jest znacznie mniejsze od Dolnego, jest „po brzegi" wypełnione zabytkami i historią. To właśnie zdjęcia Górnego Miasta, najstarszej części miasta, położonej na wapiennym wzgórzu, z masywnymi murami obronnymi i wieżami baszt, z pięknie kontrastującymi kolorami zieleni i cegieł, robione z błoni, z okolic zachodniej obwodnicy, bądź z lotu ptaka, są bardzo popularnym motywem na folderach i widokówkach z Tallina.

Cechą charakterystyczną całego kompleksu średniowiecznego jest duża liczba rynków i ryneczków. Także Górne Miasto, choć o stosunkowo niewielkiej powierzchni, posiada co najmniej kilka założeń mogących być zakwalifikowanymi jako takie. Kulminacją jest Plac Zamkowy z zamkiem Toompea i dominującą nad nim prawosławną katedrą Aleksandra Newskiego z XIX wieku. Dwie ulice dalej, na Placu Kościelnym stoi gmach luterańskiej katedry NMP. Dla turystów spacerujących po Górnym Mieście ważną rolę pełnią punkty widokowe, pozwalające na daleką obserwację miasta od strony zachodniej i północnej (widać morze, co razem z mewami chodzącymi sobie bez strachu po szacownych murach, przypomina o morskim charakterze stolicy Estonii), czy też pozwalające sycić się fantastycznym widokiem Dolnego Miasta od strony wschodniej.

Zwiedzanie Dolnego Miasta rozpoczynamy od kościoła św. Mikołaja, który jest dzisiaj oddziałem estońskiego Muzeum Sztuki. Interesująca ekspozycja pozwala zapoznać się z historią świątyni pochodzącej z XIII w. W 1944 r. w wyniku bombardowań kościół został poważnie zniszczony, potem jednak, za czasów ZSRR (tak!) został zrekonstruowany; przy czym wiele oryginalnego wyposażenia udało się ocalić przed zagładą, co podnosi wartość zabytku. Duże wrażenie robią przede wszystkim czteroczęściowy, składany ołtarz główny oraz znajdujące się w podświetlanej gablocie wielkoformatowe płótno Bernta Notke, artysty z Lubeki, przedstawiające Danse Macabre – popularny średniowieczny motyw Tańca śmierci. Z historii świeckiej Tallina bardzo ciekawa jest Sala Srebrna dokumentująca dzieje miejscowego rzemiosła, z wyrobami głównie ze srebra, często wysadzanymi kamieniami szlachetnymi, a także przedmiotami używanymi przez tutejsze bractwa i gildie, z estońską gałęzią Bractwa Czarnych Głów na czele. Wstęp do kościoła św. Mikołaja jest płatny.

Dolne Miasto można zwiedzać na różne sposoby. Żeby zobaczyć jak najwięcej, najlepszym chyba sposobem, na pewno najbardziej efektywnym, choć wymagającym najwięcej czasu, jest zwiedzanie okrężne. My zaczęliśmy od murów obronnych, aby, zacieśniając kręgi, dojść do centralnego punktu – Placu Ratuszowego. Potężne mury z wielką ilością baszt (było ich 40, pozostało 26!), pochodzą z XIII w. i stanowią o charakterze i atmosferze Starego Miasta, i o wyjątkowości Tallina. Wiele spośród baszt jest dzisiaj zaadaptowanych na muzea, różnego rodzaju wystawy, lokale gastronomiczne, galerie sztuki itp. Ich nazwy mówią same za siebie – Gruba Małgorzata, Dziewicza, Krótka Noga (to przez nią wchodzi się na Górne Miasto). Niezwykłe, klimatyczne miejsca starego Tallina to m.in.

Pasaż św. Katarzyny, Zaułek Mistrzów. Zawracając koło XIII-wiecznego kościoła św. Olafa (tuż za nim XV-wieczne kamienice – Trzy Siostry, połączone ze sobą), idąc ulicą Pikk i odbijając tu i ówdzie, mijamy dawny klasztor Dominikanów, katolicką katedrę św. Piotra i Pawła (tradycyjnie, część informacji w języku polskim), i rozliczne budynki tallińskich gildii, z wyróżniającym się budynkiem Bractwa Czarnych Głów, budynkiem Wielkiej Gildii, Gildii św. Kanuta, czy Katarzyny.

W dawnej siedzibie KGB udostępnione są do zwiedzania (?) cele więzienne. A jest jeszcze Muzeum Tortur, zaś dla zwolenników sztuki wyższej Muzeum Ikon. Wreszcie Plac Ratuszowy z XIV-wiecznym Ratuszem położonym nie pośrodku placu, lecz zamykającym plac od południa. Plac otaczają fantastyczne kamieniczki o różnokolorowych

frontonach, dookoła turyści z rozmaitych krajów (i znów wrażenie podobne jak w Rydze – przed wszystkim mnóstwo białych Europejczyków z Zachodu plus dalekowschodnich Azjatów), zgiełk, gwar, stragany z wyrobami folklorystycznymi, sztuką i „wszystkim", rozliczne lokale gastronomiczne, ogródki itd.

Z Placu wychodzimy urokliwą, wąską, krótką uliczką – nomen omen - Ratuszową, która rozdziela Ratusz i południową część Starego Miasta. Prowadzi ona do ulicy Viru, która zwieńczona jest pozostałościami Bramy Viru (dwie wieże jak z Disneya – a to nie bajka, ale prawdziwe średniowiecze! - z elementami murów), która zamyka Stare Miasto od wschodu i pełni dziś w zasadzie rolę głównego wejścia/wyjścia. Ulica Viru jest obok Placu Ratuszowego najbardziej obleganą przez turystów. To właśnie na niej znajduje się szklano-betonowe centrum handlowe – jedyny nowoczesny obiekt starówki – co najmniej dyskusyjny, jeżeli chodzi o stylizację.

Opuszczamy Stare Miasto po wielu godzinach. Ponownie towarzyszy nam świadomość jedynie bardzo pobieżnego „dotknięcia" tego niezwykłego miejsca Tallina. Brakuje kolejnego dnia, ale z drugiej strony, być cały dzień na starówce estońskiej stolicy, a nie być wcale? Wybieramy to pierwsze i sugerujemy każdemu, kto stanie przed szansą choćby wejścia na chwilę do tej osobliwej dzielnicy, aby bezwarunkowo skorzystał z takiej okazji.

Nasz terminarz jest napięty. Wracamy późnym wieczorem do bazy, a już o czwartej rano trzeba wstawać, żeby zdążyć na prom do Helsinek. Bilety mamy, prom odpływa o 7.30, ale trzeba być o 6.00 w terminalu, a najlepiej jeszcze wcześniej, żeby mieć dobre miejsce dla samochodu i nie czekać potem zbyt długo na wyjazd, tracąc cenny czas i narażając nasz własny terminarz na niedotrzymanie. Zgodnie z planem stawiamy się w terminalu, przed nami tylko kilkanaście aut. Prom jest ogromny, wjeżdża na niego kilkaset samochodów osobowych i co najmniej kilkanaście Tirów. Trafiamy na statek nowy, wprowadzony do służby wiosną 2017 r. i zabierający 2700 pasażerów! Ruszamy, przed nami 90 km drogą morską, dwie godziny dość szybkiego rejsu (24 węzły). Kierunek Helsinki!

Łódź, dnia 2017.12.17

Pan Wojewoda Łódzki
Prof. Zbigniew Rau

Po opublikowaniu przez Pana listy nowych patronów ulic od czwartku obserwujemy festiwal nienawiści i szczucia wypływający z lewicowych mediów, w sposób tendencyjny i ahistoryczny przedstawiający postać przedwojennego lidera łódzkich narodowców Kazimierza Kowalskiego. W dniu dzisiejszym ze zdumieniem przyjęliśmy zapowiedź wydania rozporządzenia uchylającego nadanie jednej z ulic imię Kazimierza Kowalskiego.

Dziedzictwo wielonarodowej Łodzi (takiego określenia używano w okresie słusznie minionym i zawierało ono po prostu opis stanu faktycznego, a nie lewicową ideologię) nie sprowadza się jedynie do cmentarzy poszczególnych wyznań czy fabrykanckich pałaców. To również historia napięć pomiędzy poszczególnymi grupami narodowymi zamieszkujących Łódź, w której liderem Polaków mieszkających w mieście stał się w latach trzydziestych XX wieku Kazimierz Kowalski. Artykuł prasowy w „Gazecie Wyborczej" szkalujący Kazimierza Kowalskiego w żaden sposób nie przedstawia przyczyn jego stosunku do Żydów, waląc jedynie obuchem oskarżenia o antysemityzm z całkowicie ahistoryczną argumentacją. Stosując kryterium rzetelności do opisu sytuacji w przedwojennej Łodzi należy wspomnieć o tym, że mniejszość żydowska licznie angażowała się po stronie komunizmu, a więc przeciwko niepodległemu państwu polskiemu. Wystarczy sięgnąć do lewej kolumny opublikowanej tabeli z nazwami ulic, które znikną z mapy Łodzi, żeby znaleźć stosowne przykłady antypolskiego zaangażowania przedstawicieli mniejszości żydowskiej, chociażby w postaci Szymona Harnama. Kilkanaście lat wcześniej, kiedy Kazimierz Kowalski był ochotnikiem w wojnie polsko-bolszewickiej, przedstawiciele mniejszości żydowskiej stanęli w pierwszym szeregu budowniczych państwa sowieckiego, a w okresie międzywojennym jako członkowie KPP spełniali rolę antypolskiej agentury.

Z drugiej strony w realiach międzywojennej Łodzi większość łódzkiego przemysłu włókienniczego znajdowała się w rękach żydowskich fabrykantów, a Polacy stanowili w większości siłę roboczą. W podobny sposób mniejszość żydowska zdominowała wiele zawodów jak chociażby zawody prawnicze czy medycynę. To właśnie w Łodzi funkcjonowało powiedzenie „wasze ulice, nasze kamienice" opisujące stan faktyczny, w którym duża część kamienic znajdowała się w rękach żydowskich.

W realiach międzywojennej Łodzi na tle sytuacji ludności polskiej istotna część mniejszości żydowskiej znajdowała się w sytuacji społecznie uprzywilejowanej, a inna część była nielojalna wobec państwa polskiego. W tych warunkach radykalizm Kazimierza Kowalskiego był odbiciem sytuacji społecznej tamtego czasu i głosem Polaków mieszkających w Łodzi, którzy w wyborach samorządowych w 1934 roku masowo głosowali na Stronnictwo Narodowe, którym kierował w mieście.

Nie zgadzamy się na zakłamywanie przez lewicowe media historii Łodzi i odmawianie prawa do pamięci o działaczach obozu narodowego tylko dlatego, że nie pasują oni do lewicowej wersji historii.

Apelujemy do Pana o pozostawienie listy nowych patronów ulic w pierwotnej wersji. Uginając się pod medialnym szczuciem lewicy w niedługim czasie być może przyjdzie Panu zmieniać nazwy placu Lecha Kaczyńskiego, ulicy Johna Wayne'a i innych.

Jan Waliszewski, Klub imienia Romana Dmowskiego
Kamil Klimczak, Klub imienia Romana Dmowskiego
Arkadiusz Miksa, pełnomocnik Stowarzyszenia Endecja na Region Łódzki
Adam Śmiech, publicysta prasy narodowej

W związku z cofnięciem nadania imienia Kazimierza Kowalskiego ulicy Wandurskiego w ramach dekomunizacji, Klub im. Romana Dmowskiego wystosował petycję do Wojewody Łódzkiego. Petycję można podpisywać na stronie CitizenGo.

Szanowny Panie,

Z radością przyjęliśmy Pana decyzję, ogłoszoną 13 grudnia br. aby nadać jednej z dekomunizowanych ulic imię prezesa Stronnictwa Narodowego, związanego przez wiele lat z Łodzią Kazimierza Kowalskiego. Ze zdumieniem przyjęliśmy natomiast niedzielną decyzję o wydaniu zarządzenia uchylającego uhonorowanie łódzkiego narodowca, podjętą pod wpływem kłamliwej kampanii oszczerstw ze strony środowisk lewicowych.

Dziedzictwo wielonarodowej Łodzi, wbrew sączonym propagandowymi mitom nie zamyka się w świątyniach i cmentarzach różnych wyznań, fabrykanckich pałacach i różnych zwyczajach. To również konflikty pomiędzy poszczególnymi grupami narodowymi zamieszkującymi Łódź: Polakami, Żydami i Niemcami. W tyglu lat 30. XX wieku liderem polskiej społeczności zamieszkujacej Łódź był prezes tutejszych struktur Stronnictwa Narodowego adw. Kazimierz Kowalski.

Paszkwil „Gazety Wyborczej" oczerniający Kazimierza Kowalskiego wyrywa z historycznego kontekstu stosunek narodowca do społeczności żydowskiej, stosując wyświechtane slogany o antysemityzmie, który lewica zwykła przypisować wszystkim środowiskom broniącym narodowych interesów. Duża część mniejszości żydowskiej w latach II RP zaangażowała się czynnie w pracę na rzecz ideologii komunistycznej, występując przeciw państwowości polskiej, czego dowodem jest np. patron jednej ze zdekomunizowanych ulic, Szymon Harnam. W roku 1920 w szeregach Armii Czerwonej oraz sowieckiego aparatu państwowego niosącego Polsce ponowne zniewolenie również znalazło się wielu Żydów, podczas gdy Kazimierz Kowalski walczył jako ochotnik w Wojsku Polskim.

Co więcej, idylla „Łodzi czterech kultur", na którą powołują się Pańscy urzędnicy, tłumacząc zmianę patrona tej ulicy jest niczym więcej jak propagandowym mitem. Niemal wszystkie łódzkie zakłady przemysłowe znajdowały się w niepolskich rękach. Łódzcy Polacy zostali sprowadzeni do roli pomiatanej siły roboczej. Mniejszość żydowska była również nieproporcjonalnie reprezentowana wśród tzw. wolnych zawodów – prawników czy lekarzy. Powiedzenie „wasze ulice, nasze kamienice" nie było w okresie międzywojennym objawem uprzedzeń, ale opisem stanu faktycznego, gdy kamienice stanowiły własność żydowską.

Biorąc pod uwagę przytoczone wyżej warunki panujące w Łodzi lat 30. - gdy część mniejszości żydowskiej była skrajnie uprzywilejowana ekonomicznie, a inna część występowała przeciwko państwu polskiemu, radykalizm Kazimierza Kowalskiego wypływał z sytuacji społeczności polskiej i był głosem polskich mieszkańców Łodzi, głosujących w wyborach samorządowych 1934 roku na listę narodową w ilości bliskiej 100 tysiącom.

Kazimierz Kowalski przyjmował również w obliczu nadchodzącej wojny stanowisko zdecydowanie antyniemieckie. Znane jest jego przemówienie „Polska wobec Niemiec", gdzie wyłożył polski program terytorialny - oparcia powojennych granic Polski o Odrę i Nysę. Jego zaangażowanie w działalność konspiracyjną zakończyło się męczeńską śmiercią 20 marca 1942 roku na Placu Stodół w Zgierzu. Oskarżenia lewackich mediów mówiących o żywionym przez Kazimierza Kowalskiego uwielbieniu dla działań hitlerowców są wobec niezłomnej postawy Kowalskiego obrzydliwe i świadczą o zacietrzewieniu ideologicznym protestujących przeciw jego uhonorowaniu.

Nie zgadzamy się na zakłamywanie przez lewicowe media historii Łodzi i odmawianie prawa do pamięci o działaczach obozu narodowego tylko dlatego, że nie pasują oni do lewicowej wersji historii. Prawda o stosunkach polsko-żydowskich nie jest taka prosta jak przedstawiają ją cierpiący na ojkofobię lewicowi propagandyści.

Nie zgadzamy się też z argumentem, że nazwy ulic muszą bezwzględnie łączyć, a nie dzielić. Wiele postaci obecnych na mapie Łodzi również budzi kontrowersje, żeby wspomnieć Józefa Piłsudskiego (autora krwawego zamachu stanu w 1926 roku, wyrażającego się pogardliwie o polskim parlamencie), Lecha Kaczyńskiego (sygnatariusza kontrowersyjnego traktatu lizbońskiego) czy nawet Johna Wayne'a (któremu „Gazeta Wyborcza" zarzuca poglądy rasistowskie). Widać tu wyraźnie, że w nazewnictwie ulic zabrakło Panu w tym miejscu konsekwencji, gdyż tylko Kazimierz Kowalski został skreślony z listy patronów ulic gdyż „dzielił, a nie łączył".

W związku z powyższym apelujemy do Pana o przywrócenie Kazimierza Kowalskiego na listę nowych patronów ulic. Nie zgadzamy się na wymazywanie z polskiej historii reprezentantów ruchu politycznego o 130-letniej tradycji, tylko dlatego że bezkompromisowo walczyli o poprawę losu Polaków i nie pasują do propagandowych tez lewicowych pseudohistoryków. Przedstawicielowi Rządu Rzeczypospolitej nie przystoi chodzić na pasku antypolskich mediów.

W 10. rocznicę podpisania w Lizbonie tzw. traktatu reformującego, oddającego dużą część polskiej suwerenności Unii Europejskiej, wyrażamy sprzeciw wobec fałszywej i prounijnej polityki Prawa i Sprawiedliwości, bez której niemożliwa byłaby tak daleko idąca interwencja struktur europejskich w sprawy polskie.

Warto przypomnieć, że bez głosów posłów Prawa i Sprawiedliwości oraz prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego traktat lizboński, następca niesławnej „Konstytucji europejskiej", odrzuconej w referendach przez Francuzów i Holendrów pozostałby bezużytecznym świstkiem papieru.

Wbrew temu, co wmawia Polakom klasa polityczna, proces inwazji struktur Unii w polskie prawodawstwo jest coraz większy. Duża część ustaw procedowanych w polskim parlamencie jest spowodowana koniecznością dostosowywania prawa polskiego do pomysłów powstających w zaciszach brukselskich gabinetów. Bez traktatu lizbońskiego nie byłoby możliwe grożenie Polsce sankcjami ze strony brukselskich eurokratów takich jak pan Frans Timmermans za nieprzyjmowanie imigrantów czy za ustawy uchwalane przez wybrany demokratycznie polski parlament.

Dzisiejszy obraz Unii Europejskiej jest odzwierciedleniem przestróg płynących do Polaków ze strony środowisk narodowych, zarówno przed referendum akcesyjnym w 2003 roku jak i przed ratyfikacją traktatu lizbońskiego. Mimo pozorów prowadzenia przez PiS polityki „suwerennościowej" i „eurosceptycznej", kompleksowe spojrzenie na działalność tej formacji rodzi wniosek, że program PiS to jedynie „spory w rodzinie" o szybkość integracji europejskiej.

W zaistniałej sytuacji głębokiego rozkładu instytucji unijnych, których zamordyzm budzi słuszny opór ze strony narodów Europy (czego wyrazem jest chociażby Brexit) wzywamy wszystkich Polaków, którym leży na sercu dobro Ojczyzny do podjęcia działań na rzecz opuszczenia przez Polskę struktur Unii Europejskiej.

Łódź, 13 grudnia 2017 roku

Kamil Klimczak, prezes Klubu imienia Romana Dmowskiego

Jan Waliszewski, Klub imienia Romana Dmowskiego

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Panie Przewodniczący Schetyna! Na początku, i po pierwsze, o formie. Bo od kandydata na polskiego premiera oczekuje się, że będzie potrafił wysławiać się po polsku, że składnia, że fleksja, że poprawne budowanie zdania będzie domeną polskiego premiera. Pan tego warunku niestety nie spełnia. A oczekuje się tego nawet od kandydata na przewodniczącego rady gminy.

Teraz jeśli chodzi o treść tego wystąpienia, które pan dzisiaj zaprezentował, to no, niestety, rzadziutko. Niestety jest to wystąpienie wyjątkowo słabe, jeśli chodzi o kandydata na premiera. Nie było w nim żadnej wizji, nie było niczego, co państwo jako liberałowie chcecie zaprezentować Polsce. Nie było niczego, co chcecie tej Polsce zaoferować. Była mantra: Kaczyński – Szydło – Kaczyński – Szydło.

Czy naprawdę sądzicie, że namawianie prezesa Kaczyńskiego na stanowisko premiera to jest sedno tego, co potraficie zrobić w Polsce? To była istota pańskiego wystąpienia. Pan to mantrował wiele razy. Jaka jest wizja, jakie są propozycje dla Polaków w tym wystąpieniu? Nie ma żadnych niestety. Nie ma żadnych. A jeśli chodzi o tę mantrę, o tę powtarzającą się mantrę, że Jarosław Kaczyński jest rzeczywistym nadpremierem czy liderem, to oczywiście, że jest. Oczywiście, że jest i że nie jest to sytuacja dobra. Nie jest to sytuacja, która sprawia, że władza w państwie jest odpowiedzialna i że jest jasna i czysta sytuacja polityczna. I PiS już tego doświadcza i będzie doświadczał tego bardzo boleśnie. Ale powiem tak: Lepiej, żeby to Nowogrodzka z dwojga złego rządziła w Alejach Ujazdowskich, niż żeby w Alejach Ujazdowskich rządził Berlin, a tak było za waszych rządów. I dokładnie to chcecie przywrócić. Dlatego że jedyne, co macie do zaprezentowania Polakom, jest bycie agenturą wpływu zachodniego liberalizmu. Nic więcej.

To jest istota działalności Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej – agentura wpływu zachodniego liberalizmu, jaki ma za zadanie pozwolić traktować Polaków jak tubylców, których należy podbić, skolonizować w każdym aspekcie: gospodarczym, kulturowym, politycznym. Jesteście wasalami lewicy liberałów i międzynarodówki liberalnej. Taka jest prawda i taka jest wasza rola, i taka jest rola dzisiejszego wystąpienia.

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Niestety uzyskaliście duże wpływy po roku 1989 w państwie polskim. Niestety macie potężne wsparcie międzynarodowe. I tym bardziej, nie zgadzając się w bardzo wielu aspektach z tym rządem, Ruch Narodowy mówi dzisiaj: Lepsi oni niż wy. Lepsi oni niż wy w tym momencie. Właśnie dlatego.

Marksizm kulturowy, który promujecie… Dzisiaj Platforma Obywatelska jest partią lewacką po prostu, żadną chadecką, jest regularną partią lewacką. Wszystkie lewackie postulaty obyczajowe popieracie – taka jest prawda – postulaty aborcyjne, związki partnerskie, związki homoseksualistów. Jesteście lewacką jaczejką w Polsce.

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Ale nie tylko to, nie tylko to chciałem z tej mównicy dzisiaj powiedzieć. Nie tylko te słowa prawdy, które tak bolą, które tak was bolą, tak was bolą. Bo jeszcze 12 lat temu mieliście dekalog w swojej deklaracji, a teraz popieracie czarne marsze, a teraz popieracie związki homoseksualne. Tak, dekalog. Nie macie nic wspólnego z dekalogiem. Wstydźcie się. Wstydźcie się, lewacy, siedzący tutaj, na tej sali.

Ale wracam do przewodniczącego Schetyny. Panie przewodniczący, pan jest idealnym szefem dla Platformy Obywatelskiej. Wie pan dlaczego? Dlatego że jest pan na tyle cwany, na tyle chytry i sprytny, że pan będzie trzymał władzę w tej partii, i jest pan na tyle niesympatyczny, bez charyzmy, bez autorytetu w polskim społeczeństwie, że nigdy pan tej partii nie poprowadzi do zwycięstwa. Dlatego życzę Platformie Obywatelskiej jak najdłuższych pańskich rządów. Tylko mam jeszcze pytanie, bo być może jest w panu trochę cywilnej odwagi. Pan z tej mównicy dzisiaj obrzydliwie, perfidnie kłamał, mówiąc o tym, że były hasła antysemickie, rasistowskie, że były niesione takie transparenty na czele Marszu Niepodległości. To jest obrzydliwe kłamstwo.

Jeśli nie jest pan drobnym kłamczuszkiem, to w tej chwili zrezygnuje pan z immunitetu bo Stowarzyszenie Marsz Niepodległości chce pana pozwać ze te ewidentne kłamstwa. Za kłamstwa, które obrażają narodową manifestację ponad 100 tys. Polaków, którzy manifestowali 11 listopada za niepodległością, za suwerennością za wielką, katolicką Polską. Jeśli ma pan w sobie cień cywilnej odwagi, proszę złożyć immunitet, bo Stowarzyszenie Marsz Niepodległości chce pana pozwać. Chce pana pozwać. Niech pan stanie na sali.

Tyle razy mówiliście na tej sali, żeby posłowie PiS-u czy inni odpowiadali za to, co mówią z tej mównicy. Niech pan odpowie, niech pan nie będzie tchórzem. Wzywam do tego, panie przewodniczący Schetyna.

13 grudnia 2017 roku
odszedł na wieczną wartę
w wieku 90 lat

ś+p

płk. Marian Stachera

żołnierz Armii Krajowej i Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”
w zgrupowaniu Antoniego Hedy ps. „Szary”

Requiescant in pace

Zaproszenia

2 stycznia o godz. 17:00 pod tablicą pamiątkową w kościele pw. Najświętszego Imienia Jezus w Łodzi (ul. Sienkiewicza 60) odbędzie się złożenie kwiatów z racji 79. rocznicy śmierci Romana Dmowskiego.

Zachęcamy do przekazywania informacji o interesujących wydarzeniach w postaci relacji tekstowych i fotograficznych oraz zapowiedzi nadchodzących wydarzeń. Nadeslane materiały nie mogą naruszać cudzych praw autorskich. Przekazanie materiału jest równoznaczne ze zgodą autora na wykorzystanie przez redakcję.

Zawartość czasopisma "Chrobry Szlak" chroniona jest prawem autorskim.
Jakiekolwiek przedruki materiałów zawartych w czasopiśmie dozwolone są wyłącznie za zgodą redakcji.
Redakcja wyraża zgodę na nieodpłatne rozpowszechnianie zawartości pisma w postaci pliku PDF, udostępnianego na stronie internetowej chrobryszlak.pl

Chrobry Szlak

Pismo społeczno-polityczne narodowców

Zespół redakcyjny:

Jan Waliszewski

Kamil Klimczak

Jan Szałowski

Jacek Kędzierski

Adam Śmiech

Kontakt: info@chrobryszlak.pl